№ 49. Warszawa, dnia 22 Listopada (4 Grudnia) 1886 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 5, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

Z NIEZNANYCH POEZYI
WINCENTEGO POLA.

Czy może być coś bardziej szacownego a zarazem ciekawego, nad świeżo odnalezione pamiątki, po wielkich ludziach a do tego po narodowych piewcach?

Żaden artykuł najświeższego kroju literackiego, nie zdoła iść w porównanie z wartością jednej takiej pamiątki.

Każdy szczegół, choćby najdrobniejszy, mogący wpłynąć na wyjaśnienie pewnej chwili w życiu tych ludzi, jest i musi być pożądany zarówno dla literatury jak i dla każdego pojedyńczego jej miłośnika.

Te bowiem pamiątki, skrzętnie zebrane i ujawnione, dopełniają historyą danej epoki i ich przedstawicieli i dają możność gruntowniejszego tychże ocenienia.

To też przedewszystkiem, powinno być głównem zadaniem każdego historyka literatury.

Idąc za tą wskazówką, przedstawiam poniżej odnalezione przezemnie, a dotąd zupełnie nieznane poezye Wincentego Pola (*), które odnoszą się do rozmaitych chwil życia wieszcza.

I tak pierwszy wiersz pod tytułem: „Bądźcie zdrowi" napisany został w czasie wyjazdu Pola z Galicyi do Marienbadu w roku 1849.

Więc znów w świat ruszam i w cudze kraje,
Pod cudze dachy, pod obce nieba,
Wszystko co kocham tutaj zostaje,
A mnie porzucić przecie to trzeba!
I żadna miłość, żadna ochota,
Żadna nadzieja w świat nie popędza,
Wiem, co tam czeka, sroga tęsknota,
Wzgarda u obcych, ucisk i nędza!
Ja już nic więcej nie mam do dania,
A świat ma od nas tylko do wzięcia...
Więc gdy z waszego wyjdę objęcia,
Nigdzie nie znajdę więcej kochania,
Nic nie pocieszy, nic nie ukoi,
Gdy się odstrzelę od was daleko...
A więc raz jeszcze do piersi mojej!
Potem się zamknie jak trumny wieko.
— Jako ja biorę co z woli Boga
Tak i wy bierzcie moi kochani!
Przez krzyż do krzyża wiedzie ta droga,
I wierni w Panu ukrzyżowani...
Lecz gdy go dźwignąć to już nie boli,
I kiedy Pan Bóg o nas stanowi,
Wyrzec się trzeba tej własnej woli,
Bądźcie mi zdrowi! Bądźcie mi zdrowi!

Następny wiersz pisany w Krakowie (19 Września 1854 roku) nosi tytuł:

GDYBY...

Często staje serce na tem,
Jak z przeszłością się obliczy,
To i zrywa z całym światem,
I niczego już nie życzy...
Ale znowu mówi sobie:
A cóż z tem i z owem zrobię?
Wielki Boże! Gdyby... gdyby...
Nieźle byłoby bez chyby.

Nie źle mówisz, a cóż złego?
Nie ma jako orzec tego,
Toby mogło być i gorsze,
Lub do złego jeszcze skorsze,
Toby mogło znów być lepsze,
Żwawsze, żywsze, czulsze, krzepsze,
I pocieszam tak się niby,
I znów mówię: Gdyby... gdyby...

(*) Autografy tych poezyi znajdują się w przechowaniu Biblioteki Jagiellońskiej (nr. 3725 i 3752 fol.). (*Przyp. autora*)

Gdyby... gdyby... zawsze, wszędzie!
Ależ kiedy go nie będzie...
Co, nie będzie? a dlaczego?
Wszak jest mówiem miara złego?!
I są cuda, Bóg i Wiara!
Jest nagroda, jest i kara!
Wielki Boże! Gdyby... gdyby...
Nie źle byłoby bez chyby!

Rok 1855, przyniósł wieszczowi naszemu obok wzrostu sławy niemałą też boleść. Zacna jego małżonka w ustawicznych troskach domowych oddawna na zdrowiu zapadająca, zmarła w Krakowie 28 Sierpnia.

W dniu 28 Grudnia tegoż roku, uprzytomnił sobie wieszcz tę nieodżałowaną stratę i wyśpiewał poważny, bogobojny tren.

Panie! zwątpienie ogarnęło duszę,
I cały żywot zaciężył i grzechy,
Myśl bez natchnienia, serce bez pociechy,
I jak miecz stary w kawałki się kruszę...

Czym ludzką może pogrzeszył miłością,
Czy zbytnią wiarą, czy ziemską nadzieją,
Że cały żywot tak mi staje kością,
Że się zwątpienia chwasty w duszy sieją?

O, był stróż Anioł, co nademną czuwał,
I chmury z nieba i z czoła odsuwał,
I łódź żywota kierował na strugi...
Dziś nie ma portu, nie ma i żeglugi!

Nie przez me, Panie, lecz przez jej cierpienie,
Daj prostą drogę i życia streszczenie;
Niechaj nie ginę już pod koniec bitwy
I od zwątpienia, oczyść przez modlitwy!...

W pośmiertnych papierach Pola znalazłem nieznany dotąd list Władysława Syrokomli, następującej osnowy:

Wilno, 20 Czerwca 1855 roku.

Wielmożny panie!

Oddawna należał się ode mnie pokłon osobisty, śpiewakowi *Pieśni o ziemi naszej, Senatorskiej zgody* i *Jenerał sejmiku;* właściwa młodszemu nieśmiałość, wstrzymywała aż dotąd mój pochop, żywo rodzący się po przeczytaniu każdego z nowych jego utworów.

Dzięki włożonemu na mnie obowiązkowi, mogę się dziś ozwać do znakomitego wieszcza z pod Wawelu, złożyć mu cześć moją czołobitną, a poleciwszy się sercu, które nosi w sobie *całą ziemię naszą*, a więc i... naszych lirników, przedłożyć następną prośbę:

Pan Maurycy Orgelbrand niedawno zakładca firmy księgarskiej w Wilnie (*), przedsięwziął wydanie illustrowanego dorocznego albumu, które pragnąłby uświetnić tem wszystkiem co w obecnej chwili jest z najznakomitszych imion w naszej literaturze.

Mając na siebie włożony przezeń obowiązek uporządkowania i przygotowania do druku materyałów, rzecz naturalna, że się do najpierwszego pana udaję z prośbą, ażali nie ma coś gotowego ze swych uroczych poezyi, niezbyt wielkiej objętości, lub w razie gdyby nie miał, czy nie raczy coś dla nas napisać i nadesłać do Wilna na pierwsze dni Września b. r.

Gdy niegdyś jeszcze gwiazda świeciła Rejowa,
Sławny Jędrzej Trzecieski, w te pisał doń słowa:
„Rej, bowiem, jako mówią, ty sam u nas wodzisz,
W naszej rodzinnej mowie, ty sam przodkiem chodzisz!"
K'wam mistrzu te wyrazy zwrócę jeśli wola,
Tyś jest Pol, bard jedyny słowiańskiego pola,
Tyś przestrony jak pole od brzega do brzega,
A twa pieśni słowiańska, górą się rozlega......

. . . .

. . . .

My mieszkamy pod starym Palemańskim lasem;
Gdzie wiatr mroźny piosenki zagłusza nam czasem,
Lub odwiewa ich echo, a cóż więc za cuda,
Że nie zawsze, nie wszystko, dosłyszéć się uda?...
Więc dzisiaj kołatamy do twej dobrej woli,
Zaśpiewaj coś wyłącznie naszym lasom gwoli,
Naszym karlim pagórkom i piaszczystej niwie,
A spragnione, ich echo zawtórzy chętliwie!
Cześć prawdziwa!

Wł. Syrokomla.

ODZEW.

Wincentego Pola.

Swoszowice, 24 Lipca.

Jeśli na zapas pieką ludzie chleby,
Czyliż dla brata upiec go niewarto?
Więc się rytm musi znaleźć od potrzeby,
Więc cię pozdrawiam *a corde* tą kartą!
Bardzoś mnie miłem obesłał pisaniem,
Bardzo łaskawem osądziłeś zdaniem,
I dobrześ zrobił żeś przecie zaczepił;
Bo naszły na mnie borsukowe lata,
I dziś gdym w mojej jamie się zasklepił,
Poruszy serce już chyba głos brata...
Ale służały jestem z dawna drużba,
Więc po staremu wiem bracie co służba;
Kiedyś dał *Hasło*, to ja *Odzew* daję,
Boć to i proste i stare zwyczaje,
Że głosów serca nie cedzim przez zęby:
„Więc plackiem do nóg, pierogiem do gęby!"

Kołaczesz bracie do mej dobrej woli,
Bym coś zaśpiewał waszym lasom gwoli?
Ciężką przebyłem i tak długą drogę,
Iż dziś już czynić nie wszystko ja mogę.
Świętości bracie, nikt z domu nie daje;
Com ja wziął od was, niech przy mnie zostaje,
To czułe rzeczy, a łzy, głupia sprawa!
I gdy czułości człowiek folgę dawa,
To jacyś starzy, budzą się tam w grobie,
I patrzą na nas i mierzą nas srogo:
„Jakiś ty szlachcic? a czy nie wstyd tobie?!
A zatnij zęby i dalej tą drogą!..."
I wasze znasz ich i daj na to radę,
Jeśli masz jaką, bo jak spojrzą w oczy...
To aż drży serce, aż w duszy się mroczy,
I człek sam siebie oskarża o zdradę;
I gdzieś pod ziemią skryłby się przed wzrokiem,
I przed surowym takich dusz wyrokiem!
Ale pod ziemią oni wszyscy leżą,
I jak tu dzieje, tak tam groby dzierżą,
I chociaż tutaj nie skąpili chleba,
I drzwi otworem trzymali do nieba,
Tam każdy grobu dla nas jakoś skąpi,
I przez nic w świecie miejsca nie ustąpi!
Więc głupia sprawa! K'temu się sposobić,
Aby się w końcu chociaż grobu dobić!...
Lecz snać tak trzeba i wyroki Boże,
Jeżeli człowiek nie przyjmie w pokorze,
Nie będzie pono ni mądry, ni dzielny,
Ani w śmiertelnej sprawie nieśmiertelny.

J. H. Rychter.

(*) Przypominamy, że list ten był pisany w r. 1855. Obecnie firma ta istnieje w Warszawie.

OCALONY.

NOWELLA

odznaczona zaszczytnie na konkursie Tyg. Illustrowanego.

SKREŚLIŁ

Anatol Krzyżanowski.

(Dalszy ciąg.)

Gdy Zygmunt Zapolski powrócił w dwa tygodnie później z niespodzianej swej wycieczki, nie zastał już Maryi w domu swej matki. Marszałkowa tylko opowiedziała mu, z pewnem usprawiedliwionem jak sądziła zgryczeniem, iż natura pociągnęła wilka do lasu, panna Polińska bowiem, niepomna dobrodziejstw, jakiemi ją obsypywano, za kilka słów przestrogi, czuła się w obowiązku obrazić i wyjechać do jednej ze swych przyjaciółek, gdzie ma zabawić, dopóki miejsca nauczycielki nie znajdzie.

Ku wielkiemu jej wszakże zdumieniu, Zygmunt na zawiadomienie to, ani jednem nie odpowiedział słówkiem. Wysłuchał szczegółów z głuchem milczeniem, poczem dając za usprawiedliwienie znużenie całodzienną podróżą, skierował się ku bibliotece i zamknął w takowej.

Tu dopiero, w pośród ukochanych ksiąg swych i rękopismów, w miejscu gdzie tylokrotnie długie z nią przesiadywał godziny, gdzie każdy przedmiot zdawał się nosić na sobie ślady drobnej jej rączki, i wytwornego niewieściego smaku, głuchy jęk wyrwał się z piersi Zapolskiego.

Jak dąb, którego życiodajne korzenie z serca wyrwane, runęła wyniosła jego postać na fotel, a ręce o stół oparte, blade ukryły oblicze.

— Szalony, szalony — wyszeptał — sądziłeś się dosyć na cios ten przygotowanym, widzisz zaś, jak próżnia straszną ci się wydaje!

— Stchórzyłem, uciekłem, a teraz zabiorą mi ją na zawsze. Rzucona w wir świata, sama bez obrony, bez opieki, trafi może na jakiego nędznika, co nie wart skarbu takiego, dłoń jednak po niego wyciągnie. Nie, ja na to nie pozwolę, pojadę natychmiast i przywiozę ją napowrót!

W nadmiernie nerwowej, roztrojonej tej naturze, jedno słowo, jedno wrażenie natychmiastową wywoływało reakcyę. Podniecony, ze strasznego przybicia do gorączkowej przechodząc ruchliwości, zerwał się i zaczął szybko chodzić po pokoju.

— Pojechać — powtórzył — nie, nigdy nie mam prawa do tego! Ja, człowiek honoru i sumienia miałbym dobrowolny popełnić występek? Fa-

tum dziejowe, straszne przekleństwo ciążące na naszej rodzinie, nie pozwala mi na to. Zbrodniarz tylko mógłby przykuć niewinną istotę do skazańca, którego przodkowie przez trzy pokolenia obłąkaniem kończyli. Pamięć Targowicy, piętnem zdrady naznaczyło nas na zawsze. Największa miłość nawet nie zdoła zmyć go dzisiaj, nie potrafi wyrwać z umysłu zarodków szaleństwa, któż mi zaręczy, że nie zostanę dotknięty niem jutro, kiedy teraz już czuję w głowie jakiś ogień piekielny, który tak ołów roztopiony mózg mi wypala.

Obie dłonie do skroni przycisnął, poczem zgwałtownym mówił wybuchem.

— Skorzystać z nieświadomości jej, z pierwszego serca porywu, nie, to byłaby podłość nie do darowania. I tak wchodziłem nikczemnie w targ z własnem sumieniem. Szalony, sądziłem, iż uniesiona uczuciem, zaofiaruje mi je dobrowolnie, a wtedy, wtedy, Boże przebacz mi, byłbym przyjął z radością tę oliwną gałązkę zbawienia, ten pierwszy promień szczęścia w samotnem, posępnem życiu. Jej wola, jej życzenie, dałyby mi wobec samego siebie wymówkę i tłomaczenie, bo przecież nie miałem prawa szczęścia jej niweczyć. Stało się, nie kochała mnie dosyć, duma silniejszą była nad uczucie, miłość jej zatem musiała zwodniczem być tylko złudzeniem.

— A jednak, a jednak — wyszeptał — ona by mnie odrodziła i innym uczyniła człowiekiem. Młodość przepędzona nad książką, zimna, rozważna, zemściła się dziś na mnie, budząc w duszy pragnienia, których zaspokoić nic nie jest w stanie, podsycając demona, który pod postacią uczuć spóźnionych, przyszedł mi zatruć spokój siłą woli zdobyty.

A może ona powróci jeszcze? Może w zetknięciu z zimnym światem, pozna wartość cichego, domowego ogniska, może i dla niej stanie się ono rajem utraconym, a serce o dawne upomni się prawa?

Uniesiony złudzeniem, widział już oczyma duszy wracającą swoją gołąbkę białą, czuł uścisk jej dłoni i upojony nadzieją, roił obrazy szczęścia na przyszłość.

Jeden dzień wszakże mijał za drugim, zlewając się w tygodnie i miesiące, a Maryjka żadnej o sobie nie dawała wieści. W starym dworze Zapolskich wielkie tymczasem pozachodziły zmiany. Walka moralna, jaką młody uczony staczał ciągle z sobą, tak wyraźnie odbiła się na jego zdrowiu i powierzchowności, iż przyspieszony i cicho obchodzony ślub Wandy, bez żadnych odbył się uroczystości, z chwilą zaś wyjazdu jej gnębiąca, grobowa niemal cisza, zapanowała w wesołym niegdyś domu. Służba nawet przesuwała się na palcach, jak gdyby bała się zbudzić widmo szczęśliwszej przeszłości.

Zygmunt Zapolski powracając do dawnych nawyknień, oddał się cały mozolnem, naukowem badaniom. Gospodarstwo, interesy, wszystko przestało istnieć dla niego. Zamknięty w ciasnych ramach biblioteki, spędzał godziny, chodząc nerwowo po pokoju, aż zmęczony fizycznie padał na krzesło i z tą samą trawiącą gorączką, zanurzał się w żelaznej, nieprzerwanej pracy, chcąc z kolei i ducha do zupełnego doprowadzić wyczerpania.

Zdawało mu się, iż w ten sposób zdoła odzyskać spokój, fałszywa jednak metoda wyniszczała tylko siły moralne i fizyczne całkowite zaś oderwanie się od świata i spraw codziennych, wytwarzało atmosferę abstrakcyjnych poglądów, wśród których podniecona wrażliwość tem silniej się rozwijała.

Łagodny, cichy, był na pozór tym samym człowiekiem, bardzo tylko w pracy umysłowej pogrążonym. Bystre oko badacza, dojrzałoby jednak snadnie, iż zarówno głęboka melancholia na wychudłych odzwierciadlona rysach, jak i płomień palący się niekiedy w ciemnych oczach, nie mają nic z badaniami historycznemi wspólnego.

— Praca uleczy go — powtarzała sobie z początku marszałkowa, domyślając się na dnie tej niezmordowanej energii, moralnego jakiegoś cierpienia. Gdy jednak dnie i noce przesiedziane nad książką, prócz wyczerpania sił, żadnej innej nie przynosiły zmiany, zaczęła go wszelkiemi sposobami odrywać od studyów, do drobnych chociażby skłaniając rozrywek. Lecz próżne to były usiłowania. Jedno tylko nadejście poczty, żywsze w nim budziło zajęcie, zdawało się, iż z dniem każdym czeka jakiejś wieści, której brak w głębszy pogrąża go smutek. Imię Maryi przytem ani razu na jego nie wybiegło usta.

Stan ten po upływie pół roku pogorszył się o tyle, iż Zapolski po dni kilka z rzędu nie wychodził za próg biblioteki. Marszałkowa, która natrętom odpowiadała zawsze, iż młody uczony pisze wielkie dzieło historyczne, po raz pierwszy silnego doznała niepokoju, obawa roztroju umysłowego, jak groźne widmo przesunęło się przed jej wzrokiem. Nie mogąc też pewnego poranku doczekać się syna na śniadanie, weszła do jego pokoju. Tknięta złem przeczuciem na widok łóżka nieporuszonego od wczoraj, stanęła szybko na progu biblioteki.

Zygmunt siedział przy biórku, pochylony nad książką, przy nim zaś, pomimo jasnych promieni słonecznych, paliły się jakby przy katafalku, dwie lampy duże. Zbudzony z zadumy skrzypnięciem drzwi, podniósł głowę i spojrzawszy na matkę, zawołał:

— Przychodzicie mnie zabrać? Ha, ha, ha! jak to zabawnie! Jak to dobrze! Umarłem, a teraz chować mnie będą! Już słyszę dzwony, dzwony żałobne... widzę ją i moją matkę! *Requiem eternam* — zanucił żałośnie.

Marszałkowa podniosła z rozpaczą ręce ku niebu.

— Jezus, Marya! — krzyknęła gwałtownie. — Mój syn, mój syn obłąkany!

Było to w rzeczy samej pomięszanie zmysłów, ale tak ciche i łagodne, iż Zygmunt czynił prędzej wrażenie nieszczęśliwego niż waryata.

* * *

W wygodnie urządzonym saloniku wiejskiego dworu, spotykamy w rok później samotną, młodą kobietę.

Ogień palący się na kominku, rzucał fantastyczne blaski na pokój słabo oświetlony, ruchliwe zaś jego płomyki, ślizgały się kapryśnie po przedmiotach dokoła stojących, a odbite od szyb, po za któremi widniał jeszcze półmrok jesienny, wracały napowrót do postaci niewieściej, otaczając ją czerwoną aureolą zmiennych swych blasków.

Kobietę bawiła snać ta ułudna gra płomieni, odsunęła bowiem lekko stoliczek ze świecą, przy której dotąd czytała i odłożywszy książkę, śledziła z upodobaniem zmienne kształty ognia kominkowego.

Postać jej przybrana w powłóczystą szatę z białego kaszmiru, którego miękkie fałdy malowniczo się układały, doskonale harmonizowała dystynkcyą swoją z urządzeniem pokoju, spuszczone zaś swobodnie ciemne włosy, zdawały się wskazywać, że jest zupełnie samą. Potwierdzała to cisza panująca dokoła, przerywana tylko niekiedy trzaskiem iskry, lub przytłumionemi krokami służby, przesuwającej się czasami po dalszych pokojach.

Młoda kobieta odsunąwszy stoliczek ze świecą, złożyła na nim również dużą książkę, trzymaną dotąd w ręku, a za ciężką może na drobne paluszki. Tytuł dzieła rozłożonego zwierzchniemi kartkami do góry, zdawał się magicznie przyciągać oko, był to „Sejm czteroletni” Kalinki.

— Straszneto i strasznie bolesne — wyszeptała pochylając głowę. — Tyle sił zmarnowanych, tyle upokorzeń i walk bezowocnych... Naród jak jednostka, musi mieć ciemne karty, musi przeżyć samoistnie wszystkie fazy przeznaczeń. Utracić jednak prawo do istnienia tak prędko po pełnej chwały przeszłości, która tyle obiecywała, to zawcześnie, zawcześnie!

Przeciągnęła białą rączkę po czole i z zamyśleniem w ogień patrzyła.

— Wspomnienie szczęśliwej przeszłości, w smutku słabą jest tylko pociechą — szepnęła. — Przeciwnie, budzi nowe pragnienia, nową życia potrzebę, wyrywa na usta skargę za chwilę minioną, którą przywrócić byśmy chcieli,

Wargi jej półsmętnym rozchyliły się uśmiechem, nie dosięgnął on jednak ciemnych źrenic, które żywszym tylko zapałały blaskiem.

— Czy ja czasem słów tych nie stosuję do siebie? — mówiła tłumionym głosem.—Jakże egoizm szkaradnym jest w naszej naturze, skoro wszystko i zawsze potrafimy do własnych odnosić uczuć.

— Ale bo też — dodała — na smutną teraźniejszość zawcześnie, zawcześnie!

I dla rozpędzenia natrętnych myśli, pochyliła się dorzucając drobnych drewek na ognisko.

— Że też Wandzia i mąż jej tak długo nie wracają — myślała. — Ściemnia się już zupełnie, a samotność cięży mi dzisiaj. Czemu? Czy dlatego, że on mi stoi ciągle na oczach. Zresztą cóż w tem złego? Umarli i nieszczęśliwi, mają przecież prawo do naszego współczucia. Czyż więc nie wolno mi w imię własnych marzeń, o których nigdy nie wiedział, poświęcić mu nawet wspomnienia?

(Dokończenie nastąpi.)

OBOJE.

PRZEZ

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg.)

Zaledwie za gośćmi drzwi się zamknęły, zwróciła się do pana Ludwika z widoczną indygnacyą.

— Głupia stara gęś — rzekła do niego — przywiozła głupiego gagatka i zażywną kucharkę, czy kogo na nich nie złapie. Dałabym głowę za to, że była wczoraj u pani Augusty, której opowiadałam o naszym kuzynie, pasując go na właściciela cukrowni, wartości dwóch milionów. Mówiłam także o ekscentrycznej Janinie i jej kłótniach z milionerem, pozytywnie usposobionym. Na tym fundamencie urządziła dzisiaj pani Ida: *la mise en scene!*

— Zręczna sztuka!

— Gdyby spektatorowie nie widzieli maszyneryi!

Na to wszedł August. Z uśmiechem powitał domowych. Na jego twarzy nie było widać żadnego zaciekawienia, żadnej obawy. Nie wiedział nic o nowych gościach o ich rozmowie i o podsuwanych im przez ciocię zamiarach. Mimo to na jego spokojnej zawsze twarzy widać było dzisiaj jakąś chmurkę grożącej niepogody. Czy to było przeczucie niebezpieczeństwa, czy tylko konsekwencya tego, co było a o czem on sam jeszcze nie wiedział.

Z ironią ozwał się pan Ludwik:

— Cóż panie Auguście, drugi tydzień już się rozpoczął... jakże tam z interesem?

August skrzywił usta, w oczach zamigotał jaśniejszy płomień. Po chwili uspokoił się i machnął ręką.

— Człowiek strzela — odrzekł z uśmiechem — a dyabeł kule nosi.

— Widzę już na tobie ślady pazurków jakiegoś dyablika.

August zarumienił się. Zwrócił się ku konsoli, na której stała właśnie świeżo ukończona Psyche Janiny.

— Patrz dobrze — mówił pan Ludwik — abyś przy obiedzie mógł dosadnie krytykować artystkę. Jest ona twoją śmiertelną nieprzyjaciółką, szczęście, że sobie z tego nic nie robisz. *Adieu mon chere*, idę ubrać się do obiadu.

August sam pozostał w salonie.

Niejakiś czas wpatrywał się w obraz. Zdawało się, że jakoś więcej w nim widzi, niż pierwiej. Urocza Psyche tchnęła jakoś większem życiem, dziewicza pierś ruszała się lekkim oddechem, pod różową powieką tliła uśpiona iskra życia... a na gładkich dotąd licach tworzyły się zwolna rozkoszne dołki przyszłych zachwytów... A tam w cieniu krzaków różanych, stał sprawca tych zachwytów, czekając ich zbudzenia z niecierpliwym uśmiechem, psotnik Amor!... Stał i śmiał się, a August nie wiedział, czy się śmieje z uśpionego dziewczęcia, czy z niego?

Odwrócił się i wolnym krokiem przeszedł się kilka razy po salonie. Gdy przechodził koło konsoli mimowoli zwracały się jego oczy na uśpioną Psyche i śmiejącego się Erosa. Posuwał ręką po czole, jakby chciał coś ztamtąd spędzić i chodził dalej po salonie, omijając starannie obrazek na konsoli stojący.

Oddalając się od niego, zbliżał się coraz więcej do małego przy oknie stojącego stoliczka, na którym leżało kilka książek. Wziął jedną z nich do ręki. Był to Słowacki.

Otworzył książkę. Były tam kartki pozaginane, na niektórych były dopiski ołówkiem. Usiadł przy stoliku i zaczął czytać. Czytał z coraz większem zajęciem, odwracał kartki jednę po drugiej... wreszcie usłyszał szelest sukni. Poczerwieniał, jakby obawiał się przydybania na złym uczynku i szybko rzucił książkę na stół. Natomiast wydobył z kieszeni świeżą broszurę i zaczął ją oglądać.

Do salonu weszła pani Aurelia.

— Nie wiedziałam — zawołała z uśmiechem — że pan tu tak pokutujesz.

— Miałem się czem rozerwać.

— Czytałeś pan poetów?

— Przeglądałem broszurę, którą właśnie kupiłem.

— Czy jaki romans ciekawy?

— Dla mnie bardzo ciekawy!

— Pokaż pan... tfe! O burakach cukrowych!

August zaśmiał się, pani Aurelia śmiała się także.

— Przyznam się, jest to ze strony pana bardzo złośliwie. W salonie ze sztelugą malarską, z fortepianem Besendorfera, na którym leżą nuty mistrzów nieujętych dźwięków... w obec plejady naszego Parnasu... siedzisz pan i czytasz o burakach cukrowych *fi donc!* Gdyby się o tem Janina dowiedziała, nie miałbyś pan po co więcej się jej pokazywać. Ale ja tego jej nie powiem. Rzuć pan tę obrzydłą książkę i podaj mi rękę do obiadu.

Wzięła z rąk jego książkę i rzuciła na stół. Weszli oboje do stołowego pokoju.

W pokoju była ciocia Klemusia z panem Ludwikiem.

— A gdzież Janina? — zapytała pani Aurelia.

— U pana Marcina — odpowiedziała ciocia — jak zwykle, na lekcyi śpiewu.

— Wincenty, prosić oboje!

X.

Tak zwana lekcya śpiewu odbywała się rzeczywiście w pokoju imci pana Marcina.

Wincenty był amatorem ptaków. Pewnego dnia przyniósł kosa w klatce. Imci pan Marcin przyjął nowego lokatora do swego pokoju i postanowił czegoś go nauczyć. Stosownie do tego chwalebnego postanowienia, gwizdał mu całemi godzinami pieśń legionów. Zrazu niechętny był kos tej melodyi, której w gnieździe swoich rodziców wcale nie słyszał.

Przerywał ją swoim świergotem i trzepotaniem skrzydeł. Powoli budziło się jakieś szlachetniejsze zamiłowanie, a niewidzialne ucho jego stawało się coraz przystępniejsze dla melodyi, która serca milionów porywa. Wytrwałość mistrza pana Marcina odniosła dobry skutek. Kos przysłuchiwał się z widoczną rozkoszą gwizdanym tonom, obracając głowę i patrząc na mistrza to jednem, to drugiem okiem. Sprawiało to mistrzowi wielkie zadowolenie a Wincenty nie posiadał się z radości. Z podwójnym ferworem pełnił służbę przy mistrzu nadając butom jego połysk dotąd niewidziany.

Na tę lekcyę śpiewu, która się systematycznie przed obiadem odbywała, lubiła Janina przychodzić. Było to dla niej niemałą rozrywką widzieć pana Marcina wydmuchującego z należytym pietyzmem melodyą przodków-rycerzy, dla których miał wielki respekt. Kos zdawał się podzielać uczucia mistrza i poważnie kiwał głową próbując ścicha wtórzyć bohaterskiej pieśni.

Zaraz po odejściu gości przybyła Janina na tę lekcyą. Imci pan Marcin gwizdał jak zwykle po mistrzowsku i z głębokiem przejęciem się kompozycyą historyczną, ale Janina nie była jakoś dzisiaj do słuchania usposobioną. Stała zamyślona przy oknie i patrzała gdzieś w przestrzeń bez celu. Nie słyszała widocznych postępów kosa, ani jego wejrzeń przymilających, które na nią rzucał.

Ku niemałemu zdziwieniu mistrza zapytała nagle:

— Czy już koniec?

— Mogę skończyć, jeżeli pani tego sobie życzysz — odpowiedział zdziwiony nieco pan Marcin.

— Jestem jakoś dzisiaj rozdrażniona... zapewne nadciąga migrena.

W samej rzeczy uwydatniły się dzisiaj błękitne żyłki na białej skroni Janiny. Drgały ustawicznie jak drga promień słońca na niespokojnej fali.

Pan Marcin przestał gwizdać, ale uczeń nie poszedł za jego przykładem. Przeciwnie, jakby uważał to za swój obowiązek, zaczął się produkować nabytą nauką. Produkcya tym razem wypadła nadspodziewanie. Pojętny uczeń nietylko wyśpiewał całą melodyą bardzo poprawnie, ale nawet jak wdzięczny artysta wykonał dodatek nadprogramowy, podobny do okrzyku bojowego: hura! hura!

Janina nie podzielała tym razem rozkoszy mistrza, który usta złożył, jakby chciał ucznia ucałować.

— Cicho! — zawołała Janina, machając na śpiewaka białą chustką — dosyć tego świegotania, już mnie uszy bolą.

Śpiewak najeżył jeszcze pierze, jakby całym światem pogardzał, myśląc: sobie śpiewam, nie komu! I półgłosem nucił dalej.

Imci pan Marcin spojrzał z zadziwieniem na Janinę.

— Coś pani dzisiaj lewą nogą z łóżka wstała.

— Chciałam się pana o coś zapytać... Niech mi pan powie, czy to taka wielka rozrywka ta fabryka cukru?

— A na co pani tego?

— Tak... myślałam o tem, dlaczego pan August, który się taką fabryką zajmuje, tak jest na wszystko inne obojętny?

Pan Marcin ruszył wąsem i uśmiechnął się.

— Ja dziwię się — odpowiedział — że August tak długo na miejskim bruku siedzi. Na jego miejscu nie wytrzymałbym ani chwili bez fabryki Czy widziałaś pani kiedy młynarza we młynie?

— Nie.

— Wyobraź sobie ruch wszędzie i wokoło. Koła kręcą się, kosze biją, ziarno sypie się do kosza, kamienie migają, a tam w dole leje się ustawicznie potok białej mąki. Wśród tego ruchu, po ruszającej się podłodze przechadza się młynarz z zadowoleniem na twarzy. To on puścił wszystko w ruch, on utrzymuje go swojem okiem i cieszy się, że wszystko go słucha. W tym ruchu je i śpi spokojnie, a gdy w niedzielę trzeba koła zatrzymać, on się nudzi a nawet spać nie może. Gdy wtedy wyjdzie do gospody, dziwi się, że się podłoga tam nie chwieje, że nie słychać turkotu. Prędko wraca do młyna, aby z pierwszym brzaskiem jutrzenki nadać znów ruch wszystkiemu!

— Jest to tylko przyzwyczajenie.

— Tak... przyzwyczajenie do pracy. Jest to najlepsze z wszystkich przyzwyczajeń.

— Jest to maszyna.

— Ale maszyna wspaniała! Tam wre woda w kotłach, para porusza drągi żelazne, kręci koła, tu parzą się buraki i krają w drobne płatki a w ostatniej kadzi zgęszcza się szara polewka, a z pozostałej mączki tworzą się głowy cukru owinięte szarym papierem!

— To już jest ciekawsze!

— A widzisz pani? A cóż dopiero ludzie? W czarnych osmolonych fartuchach krząta się mrowie. Ten krzyczy, ów śpiewa, tamten się śmieje a każdy coś robi! Stać wśród tego wszystkiego i rozkazywać wszystkim, to także rozrywka!

— A zkąd tyle buraków się weźmie?

— Oho, ho! to także bardzo ciekawy proceder! Sadziłem i ja na moich dwóch włókach buraki i dawałem do fabryki. Ładny to zysk i robota się opłaca, ale ta przeklęta kolej żelazna, która z innych stron taniej przywozi buraki, podcięła mi nogi.

— Chciałabym kiedy widzieć taką fabrykę.

Wincenty przerwał dalszą rozmowę zaproszeniem na obiad. Janina siadła do stołu jakoś bez obawy migreny i z pewnym nieokreślonym uśmiechem spojrzała na Augusta.

— Zapewne rozmawiałaś pani z kosem o baladach — zapytał żartobliwie August.

— Przeciwnie, rozmawialiśmy o sztuce sadzenia buraków.

August zmarszczył czoło i spojrzał z wyrzutem na panią Aurelią, którą posądzał o zmowę. Słowa Janiny zaprawione widocznie ironią, wziął za przytyk do siebie. Janina wiedziała już prawdopodobnie o broszurze zostawionej w salonie.

Takie samo szyderstwo widziała Janina w zapytaniu Augusta o balady.

Niemiła z tego powodu zapanowała przy stole atmosfera. Pani Aurelia nie mogła się usprawiedliwić z podejrzenia i umilkła. Tylko ciocia Klemusia uśmiechała się z zadowoleniem a pan Marcin uśmiechał się także pod wąsem, ale tak po mistrzowsku, że tego uśmiechu nie każdy widział i zrozumiał.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KRONIKA PARYZKA.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

Paryż zaczyna nie żartem krzątać się nad wystawą, która ma odbyć się w roku 1889, jeżli jej nie przeszkodzą jakie nadzwyczajne wypadki. Pole Marsowe dokoła już zagrodzone, inżynierowie i architekci rozmierzają przestrzeń, robotnicy kopią doły, zatykają słupy i t. p. Główny gmach przeznaczony będzie wyłącznie na wystawę przemysłową, w osobnym pałacu pomieszczone będą dzieła sztuki. Tu oprócz sal obejmujących najcelniejsze utwory pędzla i dłuta, wykonane w ciągu lat jedenastu od ostatniej wystawy, w oddzielnych galeryach, zebrane być mają arcydzieła, jakie Francya wydała w ciągu stu lat ubiegłych. Osobny znów pawilon obejmie gobeliny i porcelany sewrskie.

Organizatorowie wysilają myśl, jakby odróżnić tę wystawę od tylu innych, powtarzających się co rok po wielkich miastach i mniej więcej podobnych do siebie. Do nowych projektów należy i ten, aby do każdej gałęzi przemysłu, dołączoną była jej historya, to jest ukazane machiny, niegdyś używane, a kolejno zastępowane innemi, coraz bardziej udoskonalonemi.

Osobny dział zajmą okazy przerabianych produktów. Weźmy naprzykład suknią z materyi lyońskiej. Naprzód ukażą się jajka jedwabnika, następnie wylężone z nich robaczki, potem kokony, nitki jedwabiu wysnute, uprzędzone, ufarbowane, nałożone na warstat, utkane w najpiękniejsze wzory, w końcu wyrobiona z nich suknia.

Największą osobliwość wystawy, stanowić będzie wieża *Eiffel*, tak zwana od inżyniera, którego plan przyjęto. Ogromna ta wieża, zbudowana z żelaza, wysoka na trzysta metrów, przeniesie o wiele wszystkie, słynne katedry w świecie.

Cel jej nieokreślony i nie dosyć usprawiedliwiony. Niektórzy widzą w tem, chęć pokazania tryumfu cywilizacyi przemysłowej, nad rycerską i chrześciańską, jaką niegdyś chlubiła się Francya. Na budowę tej wieży, przeznaczono jedenaście milionów.

Wszystkie teatra zasilane przez rząd, przedstawiać będą w czasie wystawy najcelniejsze sztuki, grane w przeciągu lat stu, a odnoszące się do historyi tego stulecia. Ponieważ wiele z nich potrzebuje dziś komentarzy, odbywać się mają w pałacu Trokadero konferencye, dotyczące tych dramatów i komedyi, dziś w wielkiej części zapomnianych.

* * *

Doroczne zebranie pięciu akademii, ożywił Franciszek Coppée, odczytaniem rzewnego poemaciku.

Jest to historya serca ubogiej dzieweczki, skreślona z całą prawdą, tak ją rozpoczyna poeta:

Drogie mi te rozbitki, co umieją w ciszy
Cierpićć, że ucho ludzkie ich skarg nieposłyszy,
Powtórzę też po prostu jak mi powiedziano,
Zawiedzionego serca przygodę nieznaną,
Gdy mu raz jeden w życia bezbarwnej kolei,
Mignął promyk miłości, blady, bez nadziei!

Imię jej było Janka, potulna i słodka,
Miała lat osiemnaście, bez ojca sierotka,
Z matką co dni pędziła we łzach i żałobie,
Na ubogiem poddaszu mieściły się obie,
Przy uliczce wilgotnej, ciemnej i ponurej,
Gdzie promień słońca ćmiły Panteonu mury.

Biedna Janka bez posagu, bez urody, pracuje na kęs chleba przy matce na pół niewidomej. Izdebka ich czysta i składna. Wśród widocznego ubóstwa świecą tu gdzieniegdzie okruchy dawnej zamożności. Całą rozrywką dzieweczki, mały ogródek zawieszony na dachu. Tu wiosną pielęgnuje kwiatki, tu w ciepły wieczór letni, siada przy matce, by świeżem odetchnąć powietrzem i ogarnąć oczyma ten wielki Paryż, tak blizki a całkiem jej nieznany.

Otóż jednego dnia, na poddaszu przeciwległego domu, spostrzegła Janka młodziana, siedział w oknie i czytał.

Przy okienku, pod ręką miał skromną wieczerzę,
Parę gruszek, kęs chleba, ale się nie bierze
Do uczty, snać w czytaniu utonął głęboko.
Wewnątrz nizkiej izdebki, gdzie zasiągnie oko,
Na półkach pełno książek, bliżej stolik mały
Zarzucon papierami, znak pracy wytrwałej,
Cicho tu, pusto, niby w celi zakonnika,
Obraz ten serce Janki do głębi przenika,
Z współczuciem na tę głowę patrzy pochyloną,
Pierś jej mocno uderza i lica jej płoną.

Ten sąsiad, to młody poeta, nieznany jeszcze światu, pracuje o chłodzie i głodzie, noce trawi nad piórem lub w głos powtarza wiersze.

Nigdy młodzian nie zwrócił oka na poddasze, gdzie Janka szyje obok matki.

Zrozumiała nieboga i ścicha łzy roni,
Ona go ukochała on nie myśli o niej!
Radzi się zwierciadełka... cóż ten sędzia powie?
Patrzy... i włos od grozy powstał jej na głowie.
Tu, wyryta jej przyszłość tajemnemi zgłoski,
Zwiędnie przy starej matce wśród pracy i troski,
Taki los!... trzeba głowę pochylić w pokorze,
Serce się ukołysze... i zapomni może...

O! gdybyż on ją kochał, byliżby szczęśliwi!
I stoi zadumana, wtem blask świecy żywiej,
Na pochyłem poety zamigotał czole,
I oświetlił stos świstków leżący na stole,
A Janka drży jak listek... bledziuchne jej lica,
Łzy jej zobaczył tylko srebrny sierp księżyca.

Czas mija, Janka raz poraz przychodzi do ogródka swego, widzi jak poeta rzuca wróblom okruchy chleba, ale na nią nigdy nie spojrzy! Aż tu dnia jednego dowiaduje się z dziennika, że poeta wydał książkę, że ta książka pełna rzewnych piosenek, zwróciła powszechną uwagę. A więc on będzie sławnym i bogatym... między nimi tym głębsza przepaść.

Wkrótce potem, opuszcza poeta swe ubogie poddasze... i wszystko pierzchło jak sen.

Kilka dni ubiega. Było to w Czerwcu, Janka z matką poszła do ogrodu botanicznego. Obie zasiadły na ławeczce z robótką w ręku.

Wśród cienistej alei, ktoś idzie w ich stronę,
Wzrok ma w ziemię utkwiony, czoło pochylone:
To on... widzi go Janka, poznaje... drży cała,
I pobladła na licu jak lilijka biała;
Tchu pochwycić nie może... mrok padł jej na oczy,
Ledwie z piersi wzburzonej serce nie wyskoczy,
Robótkę ledwie dłońmi utrzyma drżącemi...
Wtem schylił się poeta i coś podjął z ziemi,
To igielnik, co z rąk jej stoczył się przed chwilką,
Przystępuje do Janki, parę kroków tylko
Rozdziela ich... w jej duszy nadzieja połyska,
On przemówi coś do niej... on pozna ją zblizka,
Odgadnie ją .. ah! może zmienią się jej losy!...
Wtem pląsający przy niej chłopczyk jasnowłosy
Poskoczy, z rąk poety igielnik odbierze,
Patrzy młodzian na liczko pacholęcia świeże,
Na złociste kędziorki wijące się w koło,
Z uśmiechem pocałunek złożył mu na czoło
I odszedł... a nadzieja zaledwie roztlona
Zgasła jak błędny ognik co w powietrzu kona.
Biegnie Janka, chłopczynę schwyci w dłonie drżące,
I usta mu do czoła przyciśnie gorące,
Łka na głos, uniesiona rozpaczliwym szałem,
Jak gołąbka śmiertelnym przeszyta postrzałem.

Jedyna to skarga Janki. Pochyla ścicha głowę, życie już nic jej nie da, wie o tem, niczego też nie pragnie. Służy jak dawniej matce, pracuje na kęs chleba. Niekiedy dobieży ją z daleka imię poety uwieńczonego sławą i serce jej uderzy, ale wnet umilknie, ujęte w karby siłą niezłomnej woli!

(Dokończenie nastąpi.)

WIADOMOŚCI
z pod naszej strzechy i z obczyzny.

Powiadają, że w dalekiej przyszłości dziejopisowie określając sprawy bieżącego wieku, chylącego się już do zamknięcia rachunków żywota, wyrażą się, iż ludzkość w tym barbarzyńskiem stuleciu, była gromadą dwunożnych stworzeń, zajmujących się wzajemnem zagryzaniem, wynajdywaniem bomb przebijających kilkocalowe płyty stalowe

i wyrabianie takich płyt, którychby bomby te przebijać nie mogły.

Trafność określenia niewątpliwa, tak się dzieje na wstyd całej ludzkości niby ucywilizowanej i niby działającej w celach jedynie... humanitarnych.

W tak fajerkowem trawieniu zbiorowej pracy ludzkości, wybijającej wszędzie szpary, szczeliny i dziury do przesączania najżywotniejszych soków dobra społecznego, nic dziwnego, że jęk narzekań przeważa wszystko, że nawet „Kolce" z obowiązku do śmiechu i wesela przeznaczone a z kwaśną miną przez usta Dudusia szepczą:

Biedę znacie? I jak jeszcze,
Wszyscy chórem odpowiecie,
Zatem brawo jej zawrzeszczę,
Choć dziś ona wszystkich gniecie..

Dawniej była chuda, słaba,
Mizerota i pijaczka,
Wyglądała niby baba,
A obdarta jak żebraczka...

Dziś oho! gdzie tylko patrzę,
Wszędzie widzę tylko biedę,
I na balach i w teatrze,
W domach i gdzie tylko idę.

Wprawdzie jeździ i karetą,
Suknie, fraki nawet nosi,
Tylko z pustą wciąż kaletą,
Choć nie żebrze i nie prosi.

Siada i na aksamicie,
Ma brylanty i atłasy,
Tak się wgryzła w nasze życie...
Ot, jak się zmieniają czasy.

Świeci, więc się tłum jej kłania,
Bo to wielka, wielka dama,
Zleciał łachman z jej ubrania,
Ale bieda, to ta sama.

Moszkowskiego pierwsza suita orkiestrowa została odegraną na koncercie symfonicznym w Wielkim Teatrze. Sprawozdawca autora uczcił nazwą ziomka naszego, ale ze szczerym żalem zaraz dodał w nawiasie: *niestety! ze szczętem zniemczałego.* Nie podzielamy tego czuło-dramatycznego okrzyku, kto dobrowolnie został Niemcem, widać że nie był nigdy Polakiem, a Mośków i tak jeszcze dosyć w kraju zostanie.

Gody weselne sprawione przez jednego z kmieci dla córki swej, w okolicy Płocka, zalecające się niezwyczajną obfitością poczęstunku, pocieszająco świadczą o zamożności ludu naszego.

Godowników było liczne grono, ugoszczano ich zapewne dni kilka jeżeli nie tydzień cały, zjedzono też podczas weselnej uciechy: bydła sztuk 3, baranów 4, wieprzy 2, mąki po dwóch korcach pszenicy i tyluż żyta, w piwie kąpano się, w wódce pławiono, w tańcu zapewne zadławiano, co wszystko korespondent opisując dodał od siebie, że gody te przypomniały czasy, gdy ludzie do syta jako wilcy mogli się bez szwanku dla zdrowia swego najadać.

Szkoda, że nie znamy liczby godowników i niezupełnie ufamy ścisłości rachunku wydatków, zwykle stosowanych do myśli przewodniej opisu.

Zresztą mniejsza o to jak tam jedli weselnicy, czy jako wilcy czy jako kanarki, żyjący niemal rosą i pyłkami kwiatowego zapachu.

Dość na tem, że ten zjedzony wół, wieprz i baran, w naszej oborze był wychowany, piwo z naszego wyrobiono jęczmienia, to samo wódkę, chleb i placek.

U nas gdy ucztujemy inaczej się dzieje.

Kmieć przyjmuje najczęściej raz w życiu, pół setki godowników jeżeli nie więcej przez dni kilka i wydaje na to przypuśćmy, trzysta rubli.

My już nie na ucztę uroczystą, tylko ot tak, na schadzce niespodziewanej, na śniadanku, za smakołyki wydajemy tę samą kwotę, dla traktamentu tylko kilkunastu osób i także tylko przez godzin kilka.

Z kmiecia wydatku, ani grosik w świat obcy nie idzie, z naszego prawie cały obraca się na korzyść zagranicznych spekulantów. Kto tu grzesznikiem łatwo osądzić.

Nowa czytelniczka myśli. W Wiedniu występuje obecnie Łucya de Gentry, młoda, piękna dama z blond włosami, ujmująca regularnością rysów i blaskiem oka, którą raczej poczytaćby można za humorystyczną śpiewaczkę, najmniej zaś za czytelniczkę myśli, który to zawód już nieco zdyskredytowany został. Tymczasem wspomniona następczyni Cumberlanda i wielu jego naśladowców, nowym blaskiem opromieniła ten objaw zagadkowy, nad którym nadaremnie łamią sobie głowy uczeni. Łucya de Gentry, która się produkowała wobec tłumnej publiczności we środę w sali Towarzystwa muzycznego, nie trzyma ręki swego medium na czole, lecz wiąże chustką jego rękę z swoją, tak, że się tylko odwrotną stroną dłoni dotykają. Znalazła ona pod ścisłą kontrolą komitetu, do którego należał znany czarodziej Herman, z zawiązanemi à la Cumberland oczyma, špilkę u pewnej damy z publiczności; następnie špilkę, ukrytą w kieszeni na piersiach jednego z mężczyzn, później we wnętrzu fortepianu, co bez namysłu odgadła. Zgadywała dalej karty, jakie sobie różne osoby pomyślały. W nieobecności jej napisało kilku panów na kartce słowa i to niezwykłe, mianowicie jeden napisał greckiemi literami „eureka", drugi „Herodot", trzeci „Miska", czwarty „Rokitansky". Łucya de Gentry brała każdego z tych panów za rękę i kierując nią, temi samemi literami wypisała wspomniane słowa na tablicy. Co więcej, kilku lekarzy odrysowało przekrój szpiku pacierzowego, co najdokładniej, wiodąc ręką jednego z nich, na tablicy odrysowała. W końcu obiecała naśladować to, co się w nieobecności jej stanie w sali. Zgodzono się na to, aby koronkową chustkę jednej z dam zawiązać odlegle siedzącemu mężczyznie na szyi, poczem przywrócono *status quo ante*, a Łucya Gentry, obiegłszy salę wraz ze swem medium, wyszukała ową damę, wzięła chustkę z jej rąk i pobiegła w przeciwną stronę sali, aby ją właściwemu mężczyznie zawiązać na szyi. Publiczność zdumiona tem jasnowidzeniem nie szczędziła pięknej czarodziejce oklasków.

Panna Julia Dodu, obdarzona krzyżem legii honorowej, była telegrafistką na jednej ze stacyi w okolicach Orleanu. W Styczniu 1871 roku, pomimo srogiej zimy, prowadzone działania wojenne zmusiły armię Loary, zostającą pod dowództwem jenerała Chanzy, do śpiesznego odwrotu, aby uniknąć oskrzydlenia ze strony Prusaków dowodzných przez ks. Fryderyka Karola. Jeden oddział francuzki, naciśnięty przez Prusaków, w wielkiem znajdował się niebezpieczeństwie, gdyż mu już przecięli linię odwrotu. Aby się wydobyć z matni przedzierał się ubocznemi drogami, posyłając zapytania do najbliższych telegraficznych stacyi, aby się dowiedzieć w ten sposób, które już miejscowości zostały przez nieprzyjaciela zajęte.

Ponieważ miejscowość w której panna Dodu była telegrafistką, wolną była jeszcze od Prusaków, na nią więc skierował swój odwrót. Tymczasem ukazał się nagle oddział jazdy pruskiej i opanował najprzód biuro telegraficzne, jak to się zwykle dzieje, gdyż udając służbę francuzką można przeto w błąd wprowadzić sąsiednie stacye i przejąć przesyłane depesze. Panna Dodu zrozumiała niebezpieczeństwo, jakie groziło cofającemu się oddziałowi francuzkiej armii; ostrzedz go wprost o przybyciu nieprzyjaciela i przygotowanej zasadzce było niepodobną; postanowiła więc chwycić się ostatecznego środka i przeciąć druty w nadziei, że sąsiednia stacya spostrzegłszy przecięcie komunikacyi, domyśli się przybycia Prusaków. Tak się też stało.

Wśród śnieżnej zamieci, dzielna ta kobieta puściła się w pole i dostawszy się na linię, druty poprzecinała.

Oddział francuzki został ocalony, ale panna Dodu schwytana i przed sądem wojennym stawioną została. Zachowała się przed nim z największą godnością, oświadczając, że wiedziała co ją czeka, ale, że to co spełniła, poczytywała za obowiązek którego z poświęceniem własnego życia dokonać była powinna.

Skazana na śmierć, ocalenie swoje winna była tej szczęśliwej okoliczności, iż na czas jeszcze przed wykonaniem wyroku armia pruska otrzymała z głównej kwatery telegraficzną wiadomość, iż zawieszenie broni podpisanem zostało.

Ks. Fryderyk Karol osobiście pospieszył zanieść tę szczęśliwą wiadomość p. Dodu, a w nader pochlebny sposób wyraziwszy jej swój szacunek, z więzienia uwolnił.

Taką jest historya p. Julii Dodu, którą jeden z malarzy francuzkich na płótnie uwiecznił.

Kapelusze męzkie z materyału z drzewa przygotowanego, są najnowszym wytworem amerykańskiego przemysłu. Kapelusze te są trwalsze i podatniejsze niż filcowe, a nadto odznaczają się wielką taniością.

Dom ze słomy. W Filadelfii przygotowują obecnie dom ze słomy na wystawę amerykańską w Londynie.

Będzie to dom w stylu amerykańskim, składający się z półtrzecia piętra, na przestrzeni 42 do 50 stóp kwadratowych.

Cały użyty do budowy materyał: belki, wiązania, dachówki, podłogi, ozdoby, wykonane będą z masy słomianej.

Wewnętrzne umeblowanie naśladować będzie najprzedniejsze gatunki drzewa: różanego, machoniowego i t. p.

Oyginalny ten budynek mieścić będzie wewnątrz cały obraz handlu i przemysłu filadelfijskiego wystawiony w światłodrukach.

Drugie piętro zajmą biura jeneralne wystawy i czytelnia, w której będą wszystkie wychodzące w Filadelfii dzienniki.

Dzień zaduszny w Japonii jest zupełnie inaczej niż u nas obchodzony, w sposób nader oryginalny.

Święto trwa całe trzy dni, w ciągu których, według pojęcia krajowców, umarli przychodzą w odwiedziny do krewnych i przyjaciół.

Japończycy uważają, aby w ciągu tych dni nie smucić się wcale, przeciwnie jest to pora właśnie do zabawy, bo przecie jeżeli ukochani zmarli przychodzą z tamtego świata, trzeba się postarać, aby nie okazać im zasmuconej twarzy, przez krótki czas, który im wolno między żyjącymi pozostać.

W tym celu, przez całe trzy dni, groby są oświetlone kolorowemi lampami, a tańce ani na chwilę nie ustają.

NOWE KSIĄŻKI.

Nadesłane do Redakcyi.

Logika Stanleya Jevonsa, w przekładzie polskim znanego dokonanym przez pedagoga Henryka Wernica, a nakładem Teodora Paprockiego. Dobre i pożyteczne to dziełko obejmuje zaledwie główne kontury tej obszernej nauki. Autor jednak mimo zwięzłości, z całą prostotą i jasnością, po krótkim wstępie, objaśnia czem jest rozumowanie dedukcyjne, określa gatunki i znaczenie terminów, zastanawia nad właściwem użyciem wyrazów, nad sądami, sylogizmami i rozumowaniem indukcyjnem,

Więcej skomplikowane prawidła objaśnia przykładami z życia potocznego, a dla uplastycznienia zasad teoretycznych, używa nawet graficznych figur.

Wreszcie zakończa pytaniami, odnoszącemi się do treści swego wykładu i tym sposobem nadaje dziełku charakter podręcznika szkolnego.

Tłomaczenie jest bardzo dobre, język czysty i jasny, moglibyśmy tylko zarzucić tłomaczowi, iż nie postarał się dorzucić objaśnień, które uczyniłyby wykład więcej polskim, gdyż tak jak jest za bardzo na cudzoziemczyznę zakrawa, nawet przykłady z życia, brane są ze stosunków angielskich.

„Pan Tadeusz” Mickiewicza, w nowem wydaniu, nakładem firmy Gebethnera i Wolffa, nazwać możemy miniaturowem, gdyż książeczka cała mająca zaledwo pięć cali długości a trzy szerokości, odbita jest z wielką starannością i elegancyą, ma druk drobny, lecz nadzwyczaj wyraźny, papier piękny i trwały, a oprawa w stylu francuzkim bardzo wytworna.

„Wiesław” Brodzińskiego przystroił się także w świeżą sukienkę. Widzimy go w nowem wydaniu, dopełnionego wstępem krytycznym M. Gawalewicza i przyozdobionego pięknemi rysunkami J. Kossaka.

Rysunki tego utalentowanego artysty odtwarzają znakomicie świat ludowy i zgadzając się zupełnie z myślą autora, nadają mu wyraz smętny, serdeczny a wdzięczny.

Wydanie to przedsiewzięte przez firmę Orgelbranda z okazyi pięćdziesięcioletniej rocznicy zgonu Brodzińskiego, przedstawia się bardzo wytwornie, prawdziwie godnem jest „Wiesława” pierwszej gwiazdy romantyzmu polskiego.

Abraham Kitaj, powieść z czasów króla Jana przez Zygmunta Kaczkowskiego. Dawno już, bo upłynęło blizko lat dwadzieścia pięć, od ukazania się ostatniej powieści historycznej tego autora.

Przez ten długi czas, mieliśmy tylko zaledwie kilka jego mało znaczących broszur, dopiero w roku zeszłym we Lwowie i Warszawie zaczęła wychodzić powieść historyczna większych rozmiarów pod tytułem: Abraham Kitaj.

Teraz ukazała się ona w osobnem dwutomowem wydaniu, jako piękny zadatek budzącej się na nowo twórczości pisarskiej autora „Grobu Nieczui”.

Za treść do powieści, posłużyły Kaczkowskiemu burzliwe wypadki rodziny Łaszczów, która wybudowawszy sobie na Podolu pograniczny zameczek, zwany Kitajgrodem, przybrała, według ówczesnego zwyczaju, nazwę Kitajgrodzkich.

Jeden z nich, Abraham, przez skrócenie, od ludu nazwany Kitajem, posłużył za tytuł autorowi. Jestto postać główna świetnie narysowana, charakter butny i śmiały, gotowy bez namysłu na największe złe lub dobre, budzący postrach na kresach, a sympatyczne uczucia w sercach niewiast. Reszta osób działających jest typowo nakreślona, mamy tam ludzi we wszystkiem różniących się od dzisiejszych, którzy jednak nawet mimo wad swoich i błędów, miłe sprawiają wrażenie. Jako tło do tej powieści służy wyprawa na Wiedeń i późniejsze jej epizody na Węgrzech i Multanach. Cała powieść czyta się z wielkiem zajęciem i należy pragnąć, aby autor nie kazał nam znów tak długo czekać na nowy utwór swego utalentowanego pióra.

Z. H.

Z dziedziny humorystycznej.

Na uczcie urządzonej dla Liszta w Brukselli, znajdował się i sekretarz jego Benoni.

— Panie Benoni — odezwał się mieszkaniec Leodyum niejaki Savari — namów pan Liszta, żeby u nas dał koncert a wróżę mu świetne powodzenie.

— Nie można — odrzekł Benoni — bo koncertujemy w Paryżu, gdzie nas na pewno za dwa dni czekają.

— Ej! gdybyś pan chciał, tobyś to z łatwością u mistrza swego wyrobił.

— Niepodobna panie, niepodobna! — zawołał Benoni. — Po Paryżu gramy w Madrycie i w Lizbonie...

— Po Lizbonie więc dajmy koncert u nas w Leodyum, kochany panie Benonie, a przecie... pojmujesz pan?

Benoni pojął i przez roztargnienie tuż za plecami Liszta odrzekł dość głośno:

— Niechże więc tak się stanie jak pan sobie życzy i po Lizbonie damy koncert w Leodyum.

— Wybornie! — odrzekł Savari — mam więc pańskie przyrzeczenie, że damy koncert w Leodyum?

— Zupełne! — potwierdził Benoni — i po Lizbonie jedziemy do Leodyum.

— I ja nie mam nic przeciw temu — odezwał się Liszt, zwracając się w tej chwili do mówiących—tylko nie zapomnijcie zabrać mnie z sobą.

* * *

Gdy cesarz Karol V bawił nigdyś w Brukselli, na drugi dzień po jego przybyciu, mieli się monarsze przedstawić miejscowi panowie, koleją według służących im godności.

Rzeczy łatwo się ułożyły, ale między dwoma dygnitarzami wysokiej arystokracyi, powstał spór o pierwszeństwo tak gwałtowny, że nie było innej rady, tylko o roztrzygnięcie nieporozumienia musiano się odwołać do samego monarchy.

Gdy dzień sądu nadszedł, sala audyencyonalna była przepełniona, jak gdyby szło o załatwienie jakiej sprawy wielko-światowej, zarówno królów jak i lud obchodzącej. Wreszcie monarcha wszedł i wśród największej ciszy zgromadzonych, rzekł z największą powagą:

— Zastanowiliśmy się głęboko nad waśnią, przedstawioną nam do uspokojenia, uznając więc jej doniosłość dyplomatyczną, stanowiącą podporę naszej monarszej władzy, rozkazujemy, aby starszy wiekiem miał pierwszeństwo w przedstawieniu się przed naszem obliczem, czemu drugi uledz winien bez szemrania.

Spór przyciszył się i oba panowie wyrzekli się przedstawienia...

* * *

Niedawno w Paryżu, w rodzinie bardzo bogatej, zaszedł spór między matką i córką, niechcącą uledz woli rodziców w wyborze przyszłego małżonka.

— Jesteś niewdzięczna! — wyrzekła matka, gdy wszystkie namowy nie złamały uporu córki. — Na tom cię więc wykarmiła i wychowała, abyś...

— Przepraszam mamę — przerwała córka — bo wykarmiła mnie Janowa, a wychowała panna Schmidt, bo mama karmieniem nie chciała sobie zepsuć biustu, a na zajmowanie się wychowaniem, brakło mamie... czasu.

* * *

Niejaka pani Harkott w New-Yorku, była osobą bardzo majętną, ale i bardzo twardego serca. Na wsparcie biedy trudno było grosz z niej wydusić a gdy wreszcie coś wyciągnięto, to tyle przytem nawzdychała się, że jak utrzymywano, siłą wydobytych westchnień, dałyby się poruszyć skrzydła wiatraku.

Raz Redaktor Heralda, pisma peryodycznego bardzo poczytnego, zbierając składkę na korzyść niezmiernie ubogiej wdowy, tak małą uzyskał od niej ofiarę, że nawet obraził się, lekceważeniem niejako osobistego jego wstawienia się.

Pragnąc więc wypłatać jej figla, ogłosił w piśmie swem, podziękowanie od niby owej biednej wdowy, za wsparcie odebrane i zarazem ze swej strony dołożył, że pani Harkott znana jest zarówno z zamożności jak i z uczuć chrześciańskiego miłosierdzia, która nigdy kołaczących do jej serca bez pomocy nie zostawia.

Skutek ogłoszenia był szalony, zaraz na drugi dzień otrzymała sto listów z prośbą o pomoc i sto wizyt z żądaniami pożyczki kwot rozmaitej wielkości. Na drugi dzień żądania zwiększyły się, trzeciego podwoiły, pani Harkott zamykała się przed natrętami, kazała głosić, że chora, że wyjechała, wyszła na miasto, wszystko nic nie pomogło i gdzie się tylko zwróciła, choćby najskryciej, wszędzie spotykała wyciągniętą rękę do siebie o datek i piskliwym głosem prośbę o pomoc.

Była to męczarnia nielada, prawdziwa tortura i tym nieznośniejsza, że niby pozorem zupełnie nienagannym wywołana. I trwało to blizko rok cały, a przez ten czas pani Harkott, odebrała 6,000 listów i 14,000 wizyt osób proszących o wsparcia, których

ogólna suma trzy miliony dolarów czyli blizko pięć milionów rubli wynosiła.

* * *

Po przedstawieniu w teatrze trupy wędrownej, pierwszy tenor woła:

— Panie dyrektorze, proszę o zaliczkę, bo ledwo dyszę a głos muszę wzmocnić, na co brak mi zupełnie forsy.

— I ja jestem w tem samem położeniu — odpowiada dyrektor i wykręciwszy się na pięcie idzie odbyć rachunek z kasą.

Na drugi dzień stawia się tenor na próbę a dyrektor spojrzawszy na niego, zapytuje rozpaczliwie:

— Zmiłuj się, jakże nędznie wyglądasz? Coś zrobił mój panie, że masz taką minę, jak gdybyś z trumny się wywlókł.

— Nic dziwnego, panie dyrektorze, kto jak ja w ciągu jednego miesiąca, został najmniej dwadzieścia razy zabity, otruty, raniony i zamorzony głodem, to trudno abym miał lepszą minę. Wszak mówiłem, że ledwo dyszę i muszę głos wzmocnić a na to brak forsy. Jak jutro będzie... lękam się pomyśléć, bo bez zaliczki...

— Aha! rozumiem — mruknął dyrektor — jutro gramy Lunatyczkę, na męża więc Aminy trawionego zazdrością, wybornie pan będziesz wyglądać.

— Ależ pojutrze mam wystąpić jako Radames, wielki wódz i wojownik...

— To się z nim wstrzymamy aż do pierwszego a wówczas zaliczka już będzie niepotrzebną, bo pensyą odbierzesz.

NOWE WYDAWNICTWA.

Nakładek księgarni Teodora Paprockiego i S-ki następujące wyszły książki:

Program spostrzeżeń psychologiczno-wychowawczych nad dzieckiem od urodzenia do 20 roku życia. Przewodnik ułatwiający poznanie dziecka ułożył Dawid J. Wł.

Pan Sędzia, obrazek z niedawnej przeszłości, przez Klemensa Junoszę.

Kalendarz Ludowy, na rok 1887, wydany przez Redakcyę Zorzy. Cena 15 kop.

Edward Koliński zebrał i wydał Kalendarz, Strzecha Rodzinna, na rok 1887, w którym w dziale literackim znajdują się między innemi następujące artykuły: Ochrony dla dzieci wiejskich i O czytaniu książek, napisała Antoszka. Gawędy przyjacielskie, przez Martynowskiego. Brak lasów u włościan, napisał Tom. Piast. Cena 15 kop.

Encyklopedyi Wychowawczej wyszedł zeszyt III, tomu IV. Główny skład w księgarni Gebethnera i Wolffa.

PRZYJACIELA DZIECI

numer 49 wyszedł z druku i zawiera:

Pogadanki z Nauczycielem.—Złote słowo (wiersz). Konkurs (komedyjka). — Grenlandya (z drzeworytem). — Brachion salpina (z drzeworytem). — Czyny nauczające. — Na posterunku (drzeworyt). Syn kmiecy. — Dodatek: Jesiotr. — Ptaszek w klatce (wiersz). — Awantury pana Głuptasiewicza (z drzeworytem). — Sierota (wiersz).—Państwo Marudowie. — Panieneczka (wiersz). — O co Guś płakał często. — Odpowiedzi. — Zadania i łamigłówki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

OD REDAKCYI.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w przyszłym roku 1887, pod temi samemi co dotąd wychodzić będzie warunkami. Z większych prac pomieszczoną w nim zostanie powieść Jana Zacharyasiewicza z czasów Stanisława Augusta, nowella Klemensa Junoszy i historyczne opowiadanie p. t.

KRWAWY DYABEŁ.

Cena prenumeraty pozostaje ta sama i wynosi:

W Warszawie Kwartalnie rs. **1** kop. **80**.

Na prowincyi z przesyłką pocztową.

Kwartalnie. . . . . rs. **2** kop. **50**.
Półrocznie. . . . . rs. **5**.
Rocznie. . . . . . rs. **10**.

PRZYJACIEL DZIECI

Pismo illustrowane dla młodzieży i małej dziatwy,

w roku przyszłym 1887, także pod temi samemi co dotąd wychodzić będzie warunkami. Zaraz w pierwszym numerze przyszłorocznym rozpocznie się druk powieści jednotomowej, p. t. Z SIEROCEJ DOLI, następnie przygotowanej przez Teresę Jadwigę, a w dodatku pomieszczone będzie OPOWIADANIE O KOGUCIE ZAWADYAKU.

Cena prenumeraty pozostaje ta sama i wynosi:

W Warszawie Kwartalnie rs. **1**.

Na prowincyi z przesyłką pocztową:

Kwartalnie. . . . . rs. **1** kop. **25**.
Półrocznie. . . . . rs. **2** kop. **50**.
Rocznie. . . . . . rs. **5**.

Prosimy o wczesne nadsyłanie zapisów, co najlepiej uskuteczniać za pośrednictwem Redakcyi.

ADRES: Do J. K. Gregorowicza, Redaktora „Tygodnika Mód i Powieści" oraz „Przyjaciela Dzieci", w Warszawie — Chmielna Nr **26**.

Дозволено Цензурою. Варшава, 21 Октября 1886 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego**, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.

Opis do N-ru 48.

(Dokończenie.)

N. 36 i ryc. 9. Sukienka ozdobiona szarfą, dla dziewczynki lat 6—8

Model do ryc. 9 i 36, odrobiony był z materyału wełnianego, gładkiego szafirowego i w kratę szafirową i pąsową. Podszewkową spódniczkę



N. 1. Berecik sukienny. Patrz ryc. 11.



N. 2. Kapotka ze stojącem rondkiem. Patrz ryc. 15.



N. 3. Berecik z przeciętem rondkiem.

37 cent. długą, oszytą u dołu 15 cent. szeroką listwą w kratę, pokrywa spódniczka zwierzchnia gładka, 32 cent. długa. Długi stanik zapięty z boku przy plastronie, zdobi ranwers w kratę, z jednej strony długi, z drugiej krótki dopełniony częścią fałdowaną z gładkiego materyału, ma-



N. 9. Ubranie wizytowe. Patrz ryc. 27 tudzież ryc. 13 i 28 w N-rze 48.



N. 5. Okrycie balowe. Patrz ryc. 8 i 14 w N. 48.



N. 6. Rękawiczka haftowana. Patrz ryc. 7—8.



N. 7. Rzucik do r. 6.

jącą 27 cent. długości a 45 szerokości. Ranwers krajać trzeba razem z chusteczką trójkątną, widoczną na r. 9. Przyszycie spódnicy do stanika przy-



N. 8. Rzucik do r. 6.

na kokardę związana.

N. 37. Sukienka dla dziecka dwuletniego. Krój podług ryc. 29 w N. 45 Tyg. mód.

Pod bluzkowy stanik można dać gładką podszewkę; do zwierzchniego materyału zmarszczonego u góry i u dołu, oprócz potrzebnej szorokości, trzeba dodać 6 cent. długości, na spuszczoną bufę. Spódniczka niebieskiej popelinowej sukienki, mają-



N. 4. Kapotka z odmiennem rondkiem.

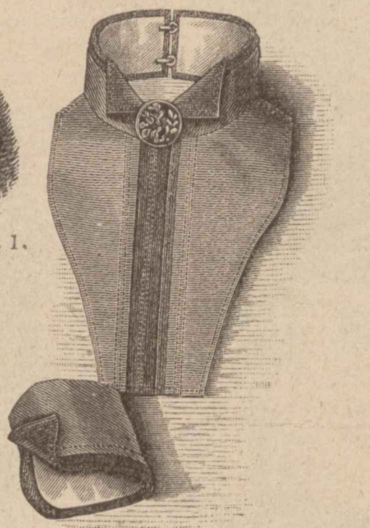
ca 19 cent. długości a 144 szerokości, ułożona była w 6 cent. szerokie kontrafałdy, z 5 cent. szerokiemi odstępami, naszytemi szafirowym aksamitem. Aksamitna berta stanika wązko zachodząca na krótkie bufowane rękawki, wycięta jest z przodu i z tyłu, w dwa zęby 7 cent. głębokie.



N. 10. Okrycie do spacerowego ubrania. Patrz r. 23-24 w N-rze 48.



N. 11. Berecik sukienny. Patrz ryc. 1.



N. 13-14. Szmizetka i mankiet flanelowy.

N. 38. Ubranie dla chłopczyka lat 6—8.

Krótkie, szerokie majtki, przypięte są do podszewkowego, z tyłu zapinanego stanika, pokrytego z przodu materyałem jersey w paski białe i niebieskie, któren widoczny jest z pod długiego, prostego wykroju żakiety z marynarskim kołnierzem, zapiętej na dwa rzędy guzików. Otwory kieszeni pokrywają patki 5 cent. szerokie. Model odrobiony z granatowego szewiotu zdobiła stębnówka z brzegów i złocone guziki z kotwicami.

N. 39—42. Kwiaty do balowego ubrania.

Najmodniejsze kwiaty balowe są aksamitne z ciemnemi liśćmi, których kunsztowne malowanie do złudzenia naśladuje naturalne. Taką gałązkę różowych orhydei z łodyżkami okręcanemi sznelą przedstawia ryc. 39; na ryc. 40 widzimy bukiecik z kwiatów rumianku, niebieskich powojów i liści do cieniu. Ubranie głowy na ryc. 42



N. 15. Kapotka ze stojącem rondkiem. Patrz ryc. 2.

składa się z aksamitnych róż herbacianych i liści czarnych tiulowych, wyszytych dżetem na sztywnym tiulu, z dodaniem drucika pod żyłkę środkową. Próbkę liścia naturalnej wielkości dajemy na ryc. 41.

N. 43. Naszyjnik z pereł.

Pięć sznurków stopniowanej długości, blado różowych pereł z *pierre-satin* stanowią piękny naszyjnik zapięty z boku na haftkę, pod kokardą z różowej atłasowej 2 cent. szerokiej wstążki.

N. 44—45 i ryc. 18 w N. 48. Szkatułka ze srebrem, nakryta ozdobnym pokrowcem.

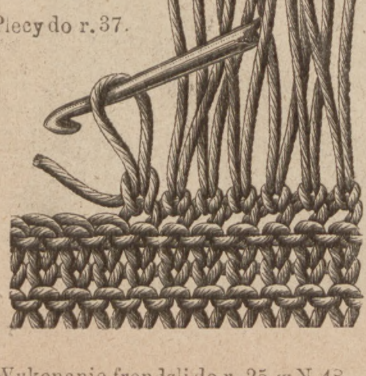
Ryc. 45 przedstawia szkatułkę umieszczoną na postumencie z lanego żelaza, lub z drzewa robotą snycerską. Model pokrowca składającego się z pięciu części oddzielnych, zeszytych z sobą, przedstawia ryc. 44. Część tylna jest gładka aksamitna a część zwierzchnia i części boczne są haftowane na aksamicie jedwabiami, cienką sznelą i nitką złotą. Trochę więcej jak połowę deseniu na część zwierzchnią i frontową dajemy na ryc. 18 w N. 49, a deseń na mniejsze boczne strony na dodatku z krojami do N. 46 i 47 Tyg. mód, fig. 118. Zeszycia oddzielnych części pod które daje się podszewkę z satynki pokrywa sznur złoty, a do wiązania służą sznury jedwabne z pomponami.



N. 12. Wazon malowany na szkle.



N. 16. Plecy do r. 37.



N. 17. Wykonanie frenzli do r. 25 w N. 48.



N. 18. Haft sznelą i aplikacya do ryc. 45 w N-rze 48.

Opis do N-ru 49.

N. 1 i 11. Berecik sukienny

Główka 12 cent. wysoka, pokryta piaskowem suknem z przodu sfałdowanem, z tyłu gładko rozciągniętem na sztywnym fasoniku, podług



N. 19. Czwarta część pat-
ki do ryc. 24.



N. 20. Żabot ka-
mizelkowy.



N. 25. Przód do r. 26.

ryc. 11. Futerko bobrowe przykrywa rondko 7 cent. szerokie, a z boku główki tworzy przepięcie 12 cent. długie.

N. 2 i 15. Kapotka z wysoko stojącem rondkiem.

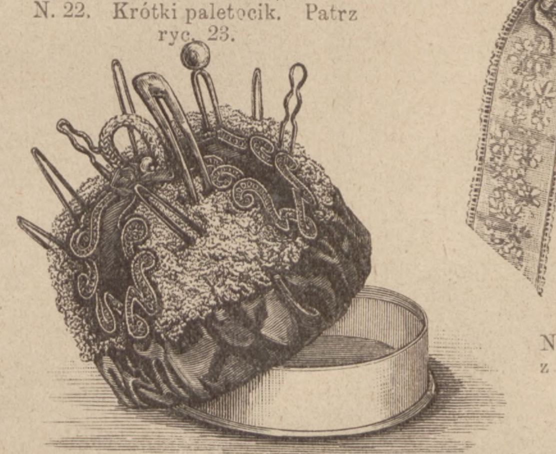
Fasonik ma główkę i rondko pokryte z wierzchu gładko czarnym aksamitem; od spodu rondko podszyte pąsowym atłasem, przeszytym w ruloniki podkładane grubym sznurem. Wierzchem rondka przepięta wstążka czarna repsowa 8 cent. szeroka, która idzie przez główkę do tyłu i złączona jest pod kokardą ze wstążką tworzącą końce do wiązania. Cztery krótkie pąsowe piórka, zmieszane z piórkami rajskiego ptaka i koronka chantilly stanowi przybranie kapotki



N. 22. Krótki paletocik. Patrz ryc. 23.



N. 26. Suknia z dwojakiego materyału. Patrz ryc. 25 i 31.



N. 24. Poduszeczka do szpilek podwójnych. Patrz ryc. 19 i ryc. 31 w N-rze 48.

N. 3. Berecik z przeciętym rondkiem.

Ciemno zielony aksamit pokrywa gładko główkę i rondko przecięte na środku z przodu i z tyłu. Dwie zręcznie ułożone kokardy, jedna z ciemno zielonego aksamitu, druga z wstążki repsowej z pikotami jasno herbacianego koloru.

N. 4. Kapotka z odmiennem rondkiem.

Rondko z przodu $5^{1}/_{2}$, z boków 3 cent. szerokie pokryte jest pletnią z piaskowego sukna; główkę pokrywa bufiasto nafałdowany ciemno zielony aksamit z przodu zaszyty w dwa wysokie kanty. Kokarda z wstążki $7^{1}/_{2}$ cent. szerokiej z brzegiem w pikoty, przepięta węzłem aksamitnym; z boku szpilka z wielką ozdobną główką.

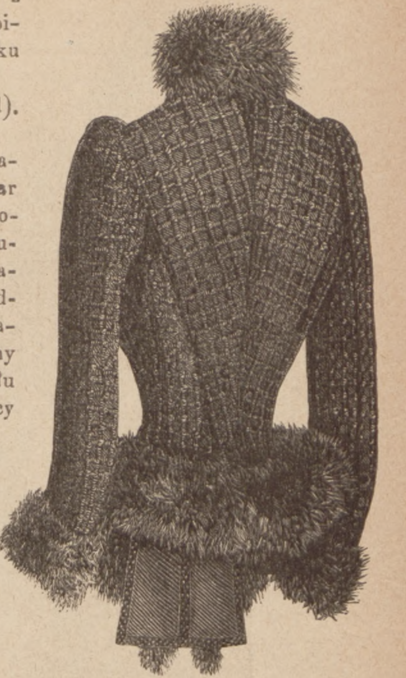
N. 5. Okrycie balowe (sortie de bal).

Patrz ryc. 8 i 17 w N-rze 48.

W N-rze 48 Tyg. mód na ryc. 17 w maleńkim formacie wskazujemy krój i wymiar strojnego okrycia formą dolmanową, odrobionego z wiśniowego pluszu, na lekko podwatowanej atłasowej podszewce. Litera *a* oznacza przód fałdowany krajany z materyału zwierzchniego; plecy krajane podług *c* mają z wierzchu dodane fałdy z trzech oddzielnych kawałków, u dołu ściętych szpiczasto i spadających na karoczko z kawałka 14 cent. długiego, 56 szerokiego, złożonego w trzy kontrafałdy. Przody i plecy złączone są boczkami *b*; rękaw *d* złożony z części zwierzchniej i spodniej odznaczonej linijką, jest lekko namarszczony na ramieniu i wszyty od dwukropka, przez gwiazdkę do kropki; przy ręce dany wykład 12 cent. szeroki. Szalowe końce przodów wycięte w dwa zęby przewiązują się kokardą z wstążki.



N. 21. Żabot z koronki i wstążki.



N. 23. Krótki paletocik. Przód na r. 22.



N. 29. Suknia z długą tuniką. Patrz ryc. 28 i 32.



N. 27. Spódnica do ryc. 9. Patrz ryc. 13 i 28 w N-rze 48.

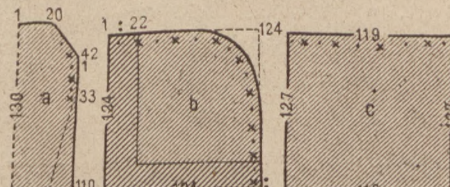


N. 28. Spódnica do ryc. 29.

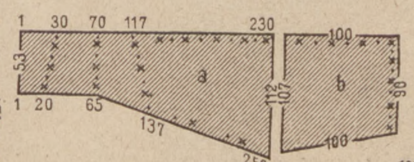
N. 6—8. Rękawiczka haftowana.

Prócz szwedzkich rękawiczek ze skórki naturalnego koloru, modne są rękawiczki jersey, które do wizytowego ubrania zdobią koronką lub haftem. Rycina 6 przedstawia model z blado niebieskiego jedwabnego trykotu, na zwierzchniej połowie haftowanego w rzucik ściegiem płaskim, jedwabiem kolorowym, podług ryc. 7 i 8.

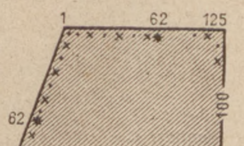
N. 9 i 27. Ubranie wizytowe. Patrz ryc. 13 i 28 w N-rze 48.



N. 30. Wymiar kroju tuniki do ryc. 29.



N. 30. Wymiar draperyi do ryc. 25—26.



N. 32. Wymiar draperyi do ryc. 35.



N. 33. Serweta podłużna z wyszyciem krzyżykowem.



N. 34. Sukienka dla dziecka.

Spódnica podszewkowa pokryta jest materyałem, z każdego boku przedzielonym odpasowanym brytem deseniowym, 40 cent. szerokim, który przy modelu z wiśniowej materyi ottoman był z atłasu poziomkowego w deseń wiśniowy frisé, takiż materyał służy do przybrania stanika. Na zszyciu brytów deseniowych z materyałem dane są podług ryc. 27 fałdy gładkie aksamitne 7 cent. szerokie. Na ryc. 13 w N-rze 48 litera *a* oznacza przednią draperyę, z brzegu cieniowanego podszytą materyą, w górze od 32 do 91 sfałdowaną do 7 cent. i wszytą w pasek od sukni; prawy brzeg boczny, od 1 do 95 sfałdowany do 13 cent. zszywa się ze sfałdowanym górnym brzegiem prawego tylnego bryta *b*, który znów poprzecznie podług znaków przy 45 sfałdowany, tworzy małe panier na spódnicy a lewym brzegiem bocznym od 25 do 38 wszywa się gładko w pasek, od 38 do 60 fałduje na 13 cent. i przyczepia przy rozporku sukni, poniżej którego podpina się pukiel składając gwiazdką do gwiazdki. Zbywające brzegi od dwukropka do dwukropka zszyte są w róg, a z prawego brzegu bocznego składa się jeszcze pukiel od dwukropka do kropki. Na lewy tylny bryt sukni spada część draperyi c, z lewego brzegu podług znaczków sfałdowana i na 34 cent. przyszyta szwem odwracanym, z prawego brzegu podług cieniowania podszyta materyałem deseniowym i wywinięta nakształt ranwersu. Górny brzeg tej części po sfałdowaniu wszywa się w pasek; linijka podwójna (na literze *c*) oznacza przecięcie bryta przy wystającym brzegu podszytym materyałem, a krzyżyki i kropki wskazują kilka fałdek założonych z jednego brzegu. Stanik ma z tyłu fałdowane karoczko 9 cent. długie; przody zdobne są długiemi deseniowemi wykładami, między które dany żabot z atłasu poziomkowego środkiem przypięty na szlifowane szklanne guziczki, z brzegów zakończony plisowaniem 3 cent. szerokiem.

(*D. n.*)

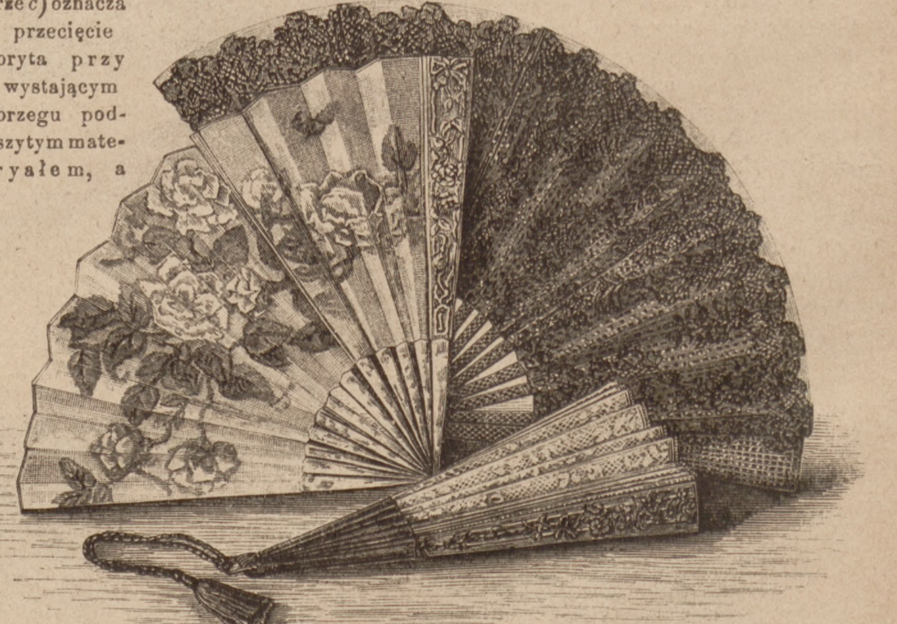


N. 35. Suknia wizytowa z długim stanikiem. Patrz ryc. 32.

N. 36. Ubranie wieczorowe.



N. 37. Suknia strojna pluszowa. Patrz ryc. 16.



N. 38—40. Wachlarze ozdobne.